ARTUR GRUSZECKI

W podziemiach ruin

wolnelektury.pl



FUNDACJA nowoczesna Polska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.
Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

ARTUR GRUSZECKI

W podziemiach ruin

I

Niedaleko granicy Marchii Brandeburskiej, a dzisiejszych Prus, stał nad Notecią zameczek obronny, Ostrów.

Gruby mur otaczał go wokoło, wewnątrz wznosił się piętrowy dom, w którym przemieszkiwała z dziada pradziada rodzina szlachecka Dzierzbickich.

W czasie, w którym rozpoczyna się to opowiadanie, właścicielem zameczku był Maciej Dzierzbicki. Jako młodzieniec brał on udział w sławnej wyprawie Króla Jana Sobieskiego pod Wiedeń, lecz ranny pod Parkanami wrócił do domu i osiadł w Ostrowie.

Czyniąc zadość woli zmarłego ojca, ożenił się, i wkrótce Pan Bóg dał mu dwie córki. Starsza Aniela liczyła już lat dziewiętnaście; wysoka, kształtna, piękna szatynka słynęła zarówno z urody jak i z dobroci. Okoliczni włościanie nazywali ją swoją matką, bo gdzie tylko zjawiła się choroba, a za nią głód i nędza, Aniela śpieszyła z pomocą. Często też wyjeżdżała konno do wsi okolicznych, a chłopi zdaleka poznawali dzielnego jej siwka, którego zazwyczaj dosiadała, odwiedzając chorych i potrzebujących pomocy.

Słońce wiosenne miało się już ku zachodowi. Pani Dzierzbicka z młodszą córką, dziesięcioletnią Janinką, siedziała obok męża na ganku zajęta robotą. Nagle, odkładając trzymany w ręku haft, rzekła:

— Jestem niespokojna o Anielkę. Wyjechała tak dawno i dotychczas nie wraca. Może ją koń poniósł? Może spadła z siodła?

— Anielka spadłaby z konia! — zdziwiła się Janinka. — Przecież ona jeździ doskonale!

— Prawdę mówi Janinka — uspokajał mąż. — Bóg nie dał mi syna, ale i on nie jeździłby tak dzielnie jak Anielka. Bywało koń skoczy w bok, zlęknie się, ona nawet nie drgnie na siodle.

— Czemuż nie wraca? — niepokoiła się matka.

— Pewno pojechała daleko, ale zresztą, poco ten niepokój, wszak jest z nią stary Bartosz, a ten ją obroni w każdej potrzebie.

— Otóż i Anielka! — zawołało dziecko, wskazując na daleką kurzawę.

— Chwała Bogu! — szepnęła matka.

— Ależ pędzi, Bartosz zaledwie zdąża, a to przecież jeździec nielada.

Zbliżywszy się do bramy, młoda dziewczyna zwolniła bieg konia, kłusem przejechała dziedziniec, lekko zeskoczyła z siodła przed gankiem i, oddawszy wierzchowca masztalerzowi, pośpieszyła do rodziców. Zarumieniona szybką jazdą weszła na ganek i, całując rękę matki, przemówiła dźwięcznym głosem:

— Niech mi mama daruje to opóźnienie, ale miałam przygodę.

— Jaką? Mów moje dziecko.

— Zaraz opowiem, tylko trochę odpocznę.

— Siadaj obok mnie Anielko i odpocznij — rzekł ojciec.

Po chwili dziewczę zaczęło:

— Byłam w ruinach...

— Tak daleko, i poco? — przerwała matka.

— To niedaleko mamo, może godzina drogi. Namówiłam Bartosza, aby mi towarzyszył, gdyż on wzdragał się, mówiąc o strachach i duchach. To podnieciło mnie jeszcze bardziej, uparłam się i pojechałam.

— I zobaczyłaś ducha? — spytała ją siostra.

— Żadnego, moja Janinko, ale wysłuchałam ciekawej opowieści i spotkałam znajomego.

— Kogóż to? — zapytała matka.

Zanim Anielka zdołała odpowiedzieć, rzekł ojciec:

— Opowiadaj po kolei, porządek przedewszystkiem.

— Więc najpierw opowiadanie o ruinach zamczyska. Dobrze mamo?

— Słuchamy! — zawołała wesoło Janinka.

— Otóż dawno, już dawno temu, pan tego zamku miał trzy córki, a gdy żona mu zmarła, ożenił się powtórnie, aby dać dzieciom opiekę, gdyż sam musiał iść na wojnę. Minęło lat kilka — ojciec jak nie wraca, tak nie wraca, a macocha rządzi i krzywdzi sieroty, by zabezpieczyć wszystko swemu synkowi. Wreszcie przyszła wieść o śmierci ojca; wówczas macocha postanowiła pozbyć się pasierbic. Idzie do wróżki, a ta jej mówi; strzeż się pasierbic, bo przez nie zginiesz nie swoją śmiercią. Zawzięta kobieta tak strasznie dokuczała i znęcała się nad sierotami, że one wreszcie z rozpaczy rzuciły się do głębokiej studni zamkowej. Właśnie w tym czasie bawił się na dziedzińcu synek tej srogiej kobiety, a chcąc zobaczyć, co się stało z jego przyrodniemi siostrami, nachylił się tak nieszczęśliwie, że wpadł również do studni i zabił się na miejscu. W jakiś czas wrócił z wojny pan zamku, gdyż wieść o jego śmierci była kłamliwą, a dowiedziawszy się o wszystkiem, zabił własnoręcznie swą drugą żonę, zamek podpalił i sam skoczył w płomienie.

— I co dalej? — spytała Janinka, gdy siostra umilkła.

— Od tego czasu w ruinach ciągle straszy; chodzą duchy, potwory dziwne, i każdy unika starego zamczyska.

— Opowieść ładna, ale nieprawdziwa — rzekł ojciec. — Zamek zburzyli Niemcy; a że jest daleko od drogi i ludzi, więc nikt go nie odbudował.

— Zapewne tak napisano w tych wielkich księgach, które ojciec ma w swym pokoju — rzekła Anielka — i pewno to prawda; ale ja wolę tę żywą historyę o nieszczęśliwych sierotach, o macosze, o tych strachach, duchach, potworach.

— Nietylko ty wolisz — odpowiedział ojciec. — Wszyscy włościanie, a nawet szlachta są przekonani, że w tych ruinach coś straszy, i nikt nie odważyłby się pójść tam w nocy, a i w dzień jasny z pewną trwogą zbliżają się do zamczyska.

— O! w dzień nie bałabym się zupełnie! — zawołała Janinka.

— Teraz prawdopodobnie nie przytrafiłoby ci się nic złego, ale dawniej, jeszcze za ś.p. ojca mego, zamczysko to zamieszkiwali rozbójnicy i łotrzykowie.

— I co? I co? — spytała Anielka z żywością.

— A cóż ma być? Jak zwykle napadali podróżnych, dwory i chaty na odludziu okradali i rabowali, a blizkość granicy sprzyjała ich procederowi. Aż nareszcie sprzykrzyło się to ludziom, i starościńscy pachołkowie część zabili, a drugą powiesili.

— Chciałam wejść w podziemia — zaczęła znów Anielka — podobno są tam skarby, ale Bartosz bardzo się wzbraniał, a że i światła nie miałam, wiec tylko pozostała mi chęć odwiedzić tę część zamczyska.

— Nie spodziewałam się tego, Anielko, — rzekła matka dość surowo, — by moja córka mniej miała zastanowienia od masztalerza. Toż w podziemnych chodnikach o złe powietrze lub o nieszczęście nie trudno.

— Matka ma zupełną słuszność — dodał pan Dzierzbicki. — W takich ciemnicach gnieżdżą się choroby, gady, jaszczurki. Proszę też waćpanny wybić sobie z głowy podobne przedsięwzięcia.

Anielka zawstydzona umilkła. Matka nie zapomniała jednak o drugiej części przygód i po chwili spytała:

— Kogo też spotkałaś dzisiaj?

— Znajomego rodziców, grafa von Tannenburg, który przesyła rodzicom pokłony.

— Grafa von Tannenburg? Tu? na naszej stronie? — zdziwił się ojciec.

— Jeździł w odwiedziny do kasztelana i wspominał coś, że był u starosty.

— Pewno łotrzyki z Brandeburgii uciekli do nas, albo nasi tam dokazują, więc żądał pomocy.

— Albo też posunął się w konkury o starościankę, bo już panna z niej leciwa — dorzuciła pani Dzierzbicka.

— Ee! także coś! — odrzekł wzruszając ramionami pan Maciej. — Tym niewiastom zawsze roi się o małżeństwie. Niemiec, protestant, ziemi ma niewiele i narażałby się tak łatwo na wyraźną rekuzę.

— Znowu zasię ja powiem — zaczęła pani — że młody on, i wiem, że dufa wiele w swe grafostwo.

— A niech tam! — machnął ręką mąż. — Ja córki nie dałbym mu, chociażby był piękny, jak Adonis, i bogaty, jak Krezus.

— Ktoś jedzie do nas — zawołała nagle Anielka.

— Ho, ho, i liczna kawalkata! — rzekł pan Dzierzbicki. Wstał, wychylił się z ganku i, klasnąwszy w ręce na służbę, rozkazał:

— Hej! Niech klucznik przysposobi gościnne komnaty, ochmistrz i szafarz niech pomyślą o gościach, by przyjąć przystojnie. A stajnie niech będą w porządku.

Równocześnie pani Dzierzbicka wraz z córkami poszła do fraucymeru, by siebie i córki godnie przystroić na przyjęcie gości.

II. WIZYTA

Pan Maciej Dzierzbicki, narzuciwszy na siebie ozdobniejszy kontusz, czekał na ganku gości, którzy, wjechawszy na dziedziniec zameczka i uchylając czapek, wołali:

— Witamy z Bogiem i dobrem słowem.

Gospodarz z rozjaśnioną twarzą kłaniał się, założywszy rękę lewą za pas błyszczący, bowiem od czasu rany otrzymanej w ramię pod Parkanami z wielką tylko trudnością władał lewą ręką.

Gdy z konia zeskoczył gość, przybrany w kołpak z czaplem piórem i spinką brylantową, w żupan i kontusz bogaty, i, acz podróżny, z karabelą u pasa; pan Maciej Dzierzbicki zszedł ze schodów gankowych i, schylając głowę, witał:

— Czołem, mości Kasztelanie! Czołem!

A gdy uścisnęli sobie ręce, rzeki kasztelan:

— Czołem, mości chorąży! Czołem! Przyjechaliśmy do was w gościnę.

— Witam was, mości kasztelanie, całem sercem! Raczcie wstąpić w me progi. Wielce wam wdzięczny za honor i wielki zaszczyt, który mi czynicie.

Po dłuższych ceregielach i wzajemnych przemówieniach udał się kasztelan do gościnnych pokojów, by przebrać się w strój godniejszy.

Tymczasem pan Maciej Dzierzbicki, któremu ziemianie dla jego zasług wojennych dali tytuł chorążego, wraz z małżonką i służbą przysposabiali przyjęcie.

Pan chorąży wydawał krótkie rozkazy, dotyczące zapasów piwnicy.

Przed nim stał i słuchał uważnie, niegdyś ochmistrz, dziś poważany przyjaciel domu, Michał Ziembiński, ubrany w biały żupanik atłasowy i w kontusz z białemi wylotami.

— Dla takiego gościa, jak kasztelan, dasz, mości Michale, to wino, które pamięta Jana Kazimierza. Dasz je pod koniec, a lżejsze do mięsiwa.

— Rozumiem, mości chorąży, sam dopilnuję kolei.

— Przy stole miej baczne oko na towarzyszów kasztelana — upominał gospodarz.

— Jak zawsze! — odpowiedział pan Michał. — Krzywdy mieć nie będą.

— Idźże, waść, teraz do piwnicy, a klucza nie wypuszczaj z rąk.

Po jego odejściu chorąży spojrzał na wielki stół, uginający się pod bogatą zastawą srebrną. Przed każdym nakryciem stał puchar, a największy i najozdobniejszy, z czystego kryształu przed nakryciem dla kasztelana. Przybiegł wreszcie pachołek, dając znać, iż kasztelan już ubrany.

Wkrótce potem przyodziany w bogaty strój wszedł i sam kasztelan, człek niemłody, dobrze szpakowaty, ale okazały, pełen jeszcze sił i zdrowia, i już z progu mówił:

— Witam uniżenie wielce miłościwą panią chorążynę! O zdrowie i pytać nie potrzebuję, bo wygląda pani chorążyna, jak róża.

Dygnęła pani, rumieniąc się, jak młoda dziewczyna, a tuż zwrócił się kasztelan i do Anielki:

— Witam waćpannę chorążankę! Kwiat jej piękności słynie nietylko w całej Polsce, ale i zagranicą są zacni kawalerowie, którzy radziby uszczknąć ten pączek.

Anielka zapłoniona schyliła się, by ucałować rękę gościa, lecz nie pozwolił na to kasztelan, pocałował ją w czoło po ojcowsku, a ona w ramię.

— Łaskawe słowa pana kasztelana przyjmujemy jako miłe komplimenta, gdyż pochodzą z ust szlachetnych.

Poczem pomodliwszy się, siedli do stołu. Gdy pierwszy apetyt minął, zapytał pan chorąży o sprawy publiczne.

— Saskie wojsko, te pijawki, ssące naszą krew, ustępują z granic Rzeczypospolitej, a do Króla szwedzkiego, Karola XII, wysłał senat posłów, by zaprzestał walki z nami, bowiem inna rzecz jest król nasz August II, a inna Rzeczpospolita, która nie chce nowej wojny szwedzkiej.

Wszczął się żywy dyskurs polityczny, wszyscy obecni byli za utrzymaniem pokoju ze Szwecyą. Pod koniec uczty uprzejmy kasztelan zwrócił słów kilka do Michała Ziembińskiego i zapytał go w końcu:

— Cóż się dzieje z waści siostrzeńcem Jakubowskim?

— Narobiwszy mi wstydu, a sobie hańby, uciekł do Brandeburgii.

— To waść i kontent — rzekł kasztelan.

— Z ucieczki tom rad, ale żal mi, żem tyle lat chował i pielęgnował tę gadzinę przy sobie, korzystając z łaski pana chorążego.

— Szkoda, że go nie ubito — westchnął chorąży, bo o zakałę szlachectwa u takiego łotrzyka nietrudno.

— Co ma wisieć, nie utonie — dodał kasztelan.

Gdy ucztę skończono, poprosił kasztelan chorążego i jego małżonkę na osobną rozmowę. Gdy usiedli we troje w pięknie przystrojonej bawialni, zagaił rozmowę kasztelan.

— Do was panie chorąży, jako do ojca, i do pani chorążynej, jako do matki, zwracam me słowa, prosząc o łaskawą odpowiedź. Zacny kawaler, graf von Tannenburg, sam mnie prosił i przywiózł listy polecające od moich zagranicznych przyjaciół, bym został jego orędownikiem u was.

— Co? Graf von Tannenburg?... Niemiec?! — krzyknął oburzony pan Dzierzbicki.

— Wysłuchajcie mnie wpierw, mości chorąży. Zacny ten kawaler wsławił się już w walce z Duńczykami, sam książę brandeburski wysoce go ceni, ród dobry, majątek jest, umiłował-ci też starszą córkę waszą, Anielkę, czemu się nie dziwię, i radby te amory zakończyć węzłem małżeńskim.

— Nic z tego! zawołał ostro chorąży.

— Jednak namyślcie się, mości chorąży, spytajcie żony, córki — doradzał zakłopotany kasztelan.

— Pzedewszystkiem — przerwał gorączkowo chorąży — moja wola jest ich wolą, a córkę przeklnę i wolałbym ją widzieć na marach, jakkolwiek miła mi ona i bardzo, aniżeli żoną Niemca, protestanta i jakiegoś grafa von Tannenburg, który bodaj czy nie z mnichów krzyżackich pochodzi.

— Ale... ale... — uspokajał go swat.

— Chce pan kasztelan wiedzieć wolę mej żony i córki, to niechaj spyta.

— Starczą mi wasze słowa, mości chorąży, i tę rekuzę prześlę grafowi z Tannenburga. Darujcie mi, że podjąłem się tego niefortunnego poselstwa, nakłoniony jego prośbami i listami.

— Przecież to nie żaden despekt dla nas — rzekła pani.

— Dla waćpani może i nie, ale dla mnie jest, nie ośmieliłby się też Niemiec, gdybym miał syna — westchnął chorąży z żalem.

— Wola Boga! — przemówił kasztelan, a po chwili dodał: — Wiedziałem ja dobrze, że córki nie dacie, bo i szkoda dziecka z dobrego gniazda dla Niemca. Słyszałem, że w Sandomierskiem wiodą rej Dzierzbiccy, to już lepiej swojemu zostawić Ostrów i córkę. A teraz pobawiłbym się kielichem, bom i rad z waszej odpowiedzi.

Całą noc trwała uczta, na drugi dzień poprawiny, i dopiero trzeciego dnia wyjechał kasztelan, zapraszając serdecznie chorążostwo do siebie.

III. OŚWIADCZYNY

Dwa tygodnie minęły spokojnie po wyjeździe kasztelana, zapomniano prawie o Niemcu, gdyż chodziły głucho wieści o wojnie szwedzkiej, rozpoczętej wbrew woli senatu i sejmu, a one bardziej zajmowały Ostrów, aniżeli sprawa grafa.

Wtem jednego popołudnia zagrały trąby przed Ostrowom, i strojnie a zbrojnie, w sześć koni wjechał na zamek graf von Tannenburg.

Chorąży zły chciał się uwolnić od przyjęcia udaną chorobą, ale chorążyna umiała ugłaskać męża i skłonić do pozornej przynajmniej gościnności.

— Tylko mi aśćka Anielki nie pokazuj, to ci mówię wyraźnie.

— Już jegomość może być spokojny o Anielkę; ja wyjść do gościa muszę, bo takie prawo gościnności, ale nie obaczy on córek moich.

Wreszcie weszli oboje do sali jadalnej i kazali prosić grafa na skromny posiłek.

Niemiec wszedł śmiało, niemal dumnie i, schyliwszy głowę w stronę pani domu, rzekł złą polszczyzną;

— Takie dziwne i nieprawdopodobne wieści przyniósł mi list kasztelana, że muszę je sprawdzić osobiście. Prosiłbym więc o chwilę rozmowy.

Chorąży z gniewu zaczął sapać i wąsa targać, ale chorążyna odpowiedziała z uśmiechem:

— Zapewne i do pana grafa doszły słuchy o nowej wojnie, nie dziwię się, że chce je pan sprawdzić i miło mi, iż w dalekiej podróży możemy go ugościć chwilowo.

— Wojna, wojna — odparł graf zmieszany trochę — ale ja mam własny interes, który chciałbym zakończyć, i jestem pewien, że z panem chorążym, jako człekiem rycerskim, łatwo dojdę do ładu. Tymczasem, zanim wojna wybuchnie — uśmiechnął się ironicznie — pozwólcie złożyć u stóp waszych słowa głębokiego szacunku, z jakim dla was jestem zawsze.

Ucałował rękę chorążyny, uścisnął prawicę chorążego, który zwolna, jak gdyby zmuszony, mówił:

— Cieszy mnie, panie grafie, że mój zameczek, jako leżący przy drodze z Marchii do Polski, został obrany na miejsce odpoczynku. Witaj nam jako gość, bądź pozdrowiony.

Młody graf aż pobladł z gniewu, położył rękę na szpadzie, ale pomiarkował się, musnął tylko wąsika i na zaproszenie chorążyny siadł do skromnego posiłku.

W rozmowie oświadczył Niemiec, że Karol XII, król szwedzki, już wkroczył na Litwę i przysłał posłów do księcia Brandeburgii z propozycyą wspólnego uderzenia na Rzeczpospolitą. Książe wzdraga się jeszcze, ale co znamienitsze rycerstwo ochotnie idzie pod sztandary protestanckiego króla.

— A waszmość, panie grafie? — spytał chorąży.

— Jeszcze nie wiem, — odpowiedział Niemiec patrząc mu w oczy śmiało. — Jeżeli znajdę tu, w Polsce krewnych, pójdę na Szwedów, uchybią zasię mej godności, to o lekarstwo przecież nietrudno.

— To jest tak, panie grafie — przerwał żywo chorąży — kto nie chwyta za ogień, ten się nie poparzy.

— Ja też nie po ogień, ale po ochłodę przyjechałem.

I już miał powstać, by uczynić wyznanie afektów, gdy drzwi się otworzyły, i wszedł Michał Ziembiński, donosząc chorążemu o przybyciu posłańca z pilnym listem.

Graf, który z dawniejszej bytności znał Ziembińskiego, zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Mości panie Ziembiński, a nie znacie wy Jakubowskiego?

— Znam, albo co?

— Przyszedł do mnie prosić się o siużbę[1] i powoływał się na wasze świadectwo. Kazałem mu zgłosić się później, póki nie dowiem się, co zacz. Cóż powiadacie?

— Przyjmie go pan graf, dobrze; nie przyjmie, także dobrze. Kiedyś go znalem, dziś umarł on dla mnie. — Następnie zwrócił się do chorążego ze słowami: — Co pan chorąży każe powiedzieć posłańcowi?

— Przynieś mi waszmość list, panie Michale.

Wkrótce potem chorąży, odczytawszy list przy stole, rzekł:

[1]służbę.

— Zaproszenie na sejmik powiatowy jest w liście, powiedz waszmość, że stawię się na czas oznaczony.

— Na kiedyż ten sejmik? — spytał Niemiec.

Chorąży, pragnąc pozbyć się niemiłego gościa, odpowiedział:

— Pojutrze rano początek, a że daleko, więc jutro z wieczora wybrać się muszę.

— Jeżeli tak, — zaczął graf po chwili milczenia — to i na mnie pora. Proszę więc obojga państwa na osobną rozmowę.

Chciała powstać chorążyna, ale mąż spojrzał na nią wymownie i rzekł:

— Nikt nam i tu nie przeszkodzi.

Klasnął w ręce i pachołkowi wchodzącemu dał polecenie:

— Pilnuj, by nikt tu nie wszedł aż do mego rozkazu.

— Zaczynaj mości grafie, słuchamy!

Ubodło to Niemca, że nie poproszono go do bawialni, że panny nie było przy stole, i że niechętnie go podejmowano; zmarszczył brwi, wstał i zwracając się do obojga małżonków, przemówił:

— Nie tajno państwu, że córka ich starsza jest przedmiotem mych sentymentów małżeńskich. Przodkowie moi dobrze się zasłużyli, gdy cesarz niemiecki udarował ich tytułem grafowskim. Jestem młody, zdrów, bogaty i gdybym zechciał, nie odmówionoby mi nawet księżniczki. Lecz serce nie sługa, i oto amor ślepy zranił je, wypuściwszy strzałę z oczu panny chorążanki. Jako sąsiad wiem, że ród wasz dobry i stary; postanowiłem tedy ożenić się z nią i muszę się ożenić. W tym celu poprosiłem na swata człowieka, przez Polaków szanowanego, jest bowiem kasztelanem, senatorem u was; ale on nie potrafił widocznie przedstawić mojej sprawy dobrze, gdyż otrzymał nie dość jasną waszą odpowiedź, przyjechałem tedy sam, bo przez posłów wilk nie bywa syty.

Umilkł na chwilę, a chorąży, który z gniewu to bladł, to czerwieniał, wstał z krzesła i krzyknął:

— Mości grafie! dość tych słów! Jedziesz waszmość fałszywą drogą, wskażę ci więc prawdziwą. Dziękuję, a nawet uznaję zaszczyt starania się waszmośćpana o rękę mej córki, ale nigdy ona nie zostanie waszą żoną, panie grafie, bo jest katoliczką i Polką.

Zabłysły oczy Niemca, który, mierząc pogardliwym wzrokiem chorążego, rzekł drwiącym tonem:

— Uspokójcie się, panie chorąży. Nie chcecie mi dać córki z dobrej woli, to i dobrze. Ja zrobiłem, co do mnie należało, prosiłem was o rękę panny Anieli... a resztę zostawmy przyszłości.

— Gościem mi jesteś, panie grafie — odezwał się spokojniejszym tonem chorąży, — siadaj więc i spożywaj, co Bóg dał.

— Darujcie, mości chorąży! Ciśnie mnie dach waszego domu a powietrze dusi, może kiedyś się zobaczymy w innych warunkach, a wówczas zaczniemy z innej beczki.

Skierował się ku drzwiom i, składając chorążynie ukłon głęboki, przemówił:

— Zostańcie z Bogiem, czcigodna pani, zapomnijcie przeszłości, bo od dziś rozpoczynam nowe życie.

Chorąży nie ruszył się z krzesła, a gdy zamknęły się drzwi za Niemcem, rozparł się na stole i rzekł do żony:

— Cóż aśćka, mościapanno, na to?

— Dopust boży! Zawsze jednak miło, że i obcy graf pokłonił się o naszą córkę.

— Białogłowom wżdy afekta w głowie — odpowiedział drwiąco — toż Niemczura zapowiada zemstę.

— A nie masz jegomość ludzi? Dałabym załogę, uzbroiła czeladź, i niech probuje!

— Wiem to ja i bez aśćki rady, ale co mi po tem, gdy Anielka w niewoli być musi, bo może taki antychryst porwać ją, obaczywszy samą.

— Ee, porwanie to sprawa gardłowa — zawołała chorążyna. — I poco też jegomość wspomina o tem, a może to chwila nieszczęśliwa i sprawdzi się!

— Żartowałem, mościapanno! żartowałem! Toż byłby gardłem pokaran za taką sprawę porwania. Zawołaj jednak Anielkę.

Weszła świeża, piękna i młoda, jak poranek majowy. Stanęła pokornie z boku, czekając pytania.

Ojciec aż się rozjaśnił i z uśmiechem figlarnym rzeknie:

— Ano, obmyśliliśmy męża dla waćpanny. Kawaler gładki, ma tytuł i majątek, tylko że to graf von Tannenburg!

— Przebrzydły Niemczysko! — szepnęła cichutko.

— Zostawiamy waćpannie przyjęcie kawalera; cóż powiesz?

— Czasem i żart boli, mój ojcze, — odezwała się dziewczyna. — Pradziadowie moi ginęli w bitwach z Niemcami, a ja miałażbym iść w ich niewolę dobrowolnie!? Powstaliby oni z grobów i obrzucili mnie przekleństwami!

Aż rozpłakał się chorąży, i tuląc córkę do piersi, mówił:

— Nieodrodne ty moje dziecko! To też miłuję ciebie nad wszystko ziemskie!

Matka również ucałowała Anielkę, szepcząc:

— Nie dam mego skarbu, chyba z życiem!

Rozochocony chorąży kazał dać całej służbie gorzałki i miodu, a zawoławszy Michała Ziembińskiego, posadził go u stołu i opowiedział szczegółowo całą rozmowę z grafem.

Ziembiński, wysłuchawszy opowieści do końca, nie taił swych obaw, iż graf może pokusić się o zdobycie siłą Ostrowa i zniewolenia Anielki groźbą.

— Fraszki mości Michale! Alboż to ludzi nie mamy? Alboż Ostrów dwór bezbronny, czy co? Są mury, ludzie, zbroje, a w razie nagłego napadu jest wyjście skryte.

Aż drgnął Ziembiński na te słowa, bo przypomniał sobie, iż Jakubowski, on łotrzyk na niemieckich dworach poszukujący służby, zna owo przejście tajemne, przebywał bowiem długi czas w Ostrowie. Na razie jednak zamilkł i, stłumiwszy niepokój, bawił się kielichem do późna w noc.

Dopiero słowa stróża nocnego, wyśpiewane pod oknami:

— Już dziewiąta na zegarze, idźcie do snu gospodarze! — skłoniły ucztujących do spoczynku.

IV. ZEMSTA

Tydzień cały od bytności Niemca upłynął spokojnie, i już chorąży kpinkował sobie z gróźb jego. Z jednej z takich chwil wesołości skorzystała Anielka i poprosiła ojca, by jej pozwolił wyjechać, ponieważ pupile wiejscy cierpieli z powodu nieobecności swej opiekunki.

— Chcesz, to i jedź, ale na wszelki wypadek weź krucicę z sobą.

Samowtór z Bartoszem wyjechała tedy Aniela, bacząc zrazu pilnie na przydroża, lecz, gdy nic podejrzanego nie spostrzegła, puściła konia stępą.

Wtem z pobliskiego gaju wypada dwóch rajtarów, zastopują drogę i proszą by jechała z nimi.

— Precz z drogi! — krzyknęła, położywszy rękę na krucicy.

— Precz rozbójnicy! — wrzasnął Bartosz, naciskając konia, aby być bliżej.

— Nic nam do ciebie — odezwał się jeden rajtar — lecz ta panna musi iść z nami.

— Nie pójdzie! — krzyknął Bartosz i, wyciągnąwszy szablę, leciał na Niemca.

Ten spokojnie go wytrzymał i strzelił; widno trafił, bo Bartosz spadł z konia.

W tym czasie Anielka, widząc, że sprawa groźna, wyciągnęła krucicę i palnęła do bliższego rajtara. Skręcił się, ale dotrzymał na siodle i z obnażoną szablą zamierzył się na dziewczynę. Widząc się bezbronną, cmoknęła na posłusznego konia i popędziła cwałem do zamku.

Rajtarzy wypuścili swe konie, pragnąc odciąć Anielce powrót, lecz siwek, jak gdyby rozumiał niebezpieczeństwo, rwał jak wicher, i wkrótce rajtarzy zostali w tyle. Rozległ się strzał jeden i drugi, ale kule chybiły konia, i Anielka dopadła szczęśliwie bramy zamkowej.

Opowiedziała szczegóły napadu, i w tej chwili ruszył Ziembiński na czele dziesięciu jeźdźców w pogoń za rajtarami. Ci, widząc poważniejszą siłę, rzucili w rów rannego Bartosza, a sami umknęli do Marchii Brandeburskiej.

We dwa dni później na murach i u bramy zamku stoczono formalną bitwę z napadającymi Niemcami. Zginęło ich sporo, ale i z obrońców trzech zabito, a pięciu ciężko raniono.

Od tej pory Ostrów był strzeżony pilnie i w dzień i w nocy. Chorąży lub Ziembiński co godzina lustrowali warty i w ordynku wojskowym utrzymywali załogę.

Jednego dnia w południe zjawił się na drodze zamkowej parlamentarz z białą chorągiewką; zatrąbił kilkakrotnie, żądając rozmowy.

Chorąży pokazał się na murach w towarzystwie Ziembińskiego, pytając, co zacz? i skąd?

— Od grafa von Tannenburg!

— Czego? — krzyknął chorąży.

— Mój pan potężny graf na Tannenburgu oświadcza: jeżeli pan chorąży odda mu córkę za żonę, zawrze z nim przyjaźń dozgonną; w przeciwnym razie zdobędzie zamek i nie pozostawi tu kamienia na kamieniu.

Usłyszawszy dźwięk tego głosu, Ziembiński zatrząsł się i zbladł, poznał bowiem swego siostrzeńca, Juliana Jakubowskiego, ale milczał i czekał.

Chorąży uśmiechnął się, pokręcił wąsa i rzecze:

— Twój pan, graf von Tannenburg, jest łotrzyk wierutny i będzie wisiał prędzej czy później. Córki nie dam, jakom mówił, a zamku niech dobywa. Zobaczym, kto silniejszy?!

— Ostrzegam, póki czas! — zawołał parlamentarz.

— Ostrzegaj psich synów, jakoś jest sam, służąc niemieckiemu plugastwu, i radzę uciekaj, bo cię ustrzelę z rusznicy, jakem szlachcic.

Skończyła się tedy rozmowa na niczem, i oczekiwano nowego napadu. Ziembiński, po tej rozmowie, wziął dwudziestu zaufanych i kazał im przez całą noc kopać nowy chodnik podziemny, tłomacząc się, że jeden chodnik jest zaciasny na tylu ludzi.

I znów kilka dni było spokojnych, aż nagle dostrzeżono z zamku nowe wojsko. Poznał zaraz chorąży nieprzyjaciół Rzeczypospolitej: byli to Szwedzi.

Rozpierzchli się szeroko po kraju, pilnując każdej drożyny, każdego przesmyku i poczynając sobie, jak żołnierz doświadczony, przemyślny i w wojennem rzemiośle wyćwiczony.

— Ano, zginę, to zginę! — rzekł do ciebie chorąży i z wielką czułością oddawał dobranoc swej rodzinie. Nie wątpił on, że Szwedzi będą sprzymierzeńcami brandeburczyka i wspólnie uderzą na Ostrów.

Jakoż istotnie przypuszczenia jego wkrótce stały się rzeczywistością: pewnego dnia o świtaniu Szwedzi uderzyli ze wszech stron na Ostrów. Dzielną i skuteczną była obrona, gdy nagle w dziedzińcu zjawili się Niemcy, którzy pod dowództwem Jakubowskiego sforsowali tajemne przejście.

Obrońcy, wzięci we dwa ognie, bronili się rozpaczliwie, a chorąży tyle tylko miał czasu, że skoczył do domu i, dając znać żonie i córkom, zdołał ujść drugiem przejściem, zrobionem przez Ziembińskiego.

Niemcy poczęli tymczasem siać zniszczenie w zamku, a zrabowawszy go doszczętnie, szukali pod przewodnictwem grafa von Tannenburg chorążego i jego rodziny. Graf wściekał się tem zniknięciem, obiecywał to nagrody, to kary żołnierzom, wszystko napróżno. Chorąży z rodziną przepadł, jak kamień w wodę!

Rozgniewany i rozżalony bezowocnem zdobyciem Ostrowu, zawołał do siebie Jakubowskiego i rzekł:

— Słuchaj przedawczyku, co ci powiem. Zdradziłeś swoich i żyjesz, ale to ci mówię, że chorąży z rodziną musi być w mojej mocy. Szukaj ich w niebie, w piekle, czy na ziemi — to twoja rzecz, ale pamiętaj, że oni muszą się znaleźć... albo ty wisieć będziesz, jako zdrajca, bo tylko ty uprzedzić ich mogłeś, że zamek zdobędę.

Na bladą, chuderlawą twarz Jakubowskiego wypełzł strach śmierci, nędznik zadygotał cały i, dzwoniąc zębami, jęknął:

— Znajdę ich, z pod ziemi dobędę, wielmożny grafie!

V. W RUINACH

W chwili zdobycia zamku wpadł chorąży do komnaty niewieściej i, skinąwszy na żonę i córki, skierował się ku ukrytemu przejściu. Tuż za nimi pośpieszał Ziembiński, dźwigając szkatułkę z klejnotami.

Wejście zatarasowano i zamaskowano starannie, poczem zmęczeni usiedli na ziemi, nasłuchując odgłosów zewnętrznych.

Po pewnym czasie rzucił chorąży zapytanie:

— A teraz gdzie iść?

Żona i dzieci milczały, więc Ziembiński odpowiedział:

— Korzystajmy z ciemności i uciekajmy w las.

— Teraz już widno, — odezwała się Anielka, — mogą łatwo nas dostrzedz, lepiej i bezpieczniej doczekać nocy.

— Prawdę mówisz, moja córko, ale rzecz w tem, gdzie uciec?

— Możeby istotnie do lasu — wmieszała się pani nieśmiało.

— Drogi i drożyny są strzeżone przez Szwedów, a zamknięci w lesie z czego żyć, gdzie spać będziemy? — wahał się chorąży.

— Czyż niema ruin? — zawołała Janinka. — Duchy są lepsze od Niemców!

— Czasem Bóg przez usta dziecka przemówi, a więc do ruin!

Uradowali się wszyscy i już weselsi czekali nocy. Po chwili rzekł Ziembiński:

— Pozwól, mości chorąży, że pierwszy wyjrzę na świat boty, rozpatrzę drogi, a jeżeli i zginę, to bezdzietny nie osierocę nikogo.

Skinął głową zezwalająco chorąży, wzruszony poczciwemi słowy, i Ziembiński zniknął w ciemnej perspektywie chodnika. W kilka godzin zjawił się i, donosząc że droga wolna, wiódł nieszczęśliwych zbiegów ku wylotowi tajnego przejścia.

Gdy w pomroku wieczornym spojrzał chorąży na Ziembińskiego, ledwie oczom swym wierzył, gdyż zamiast znanej sobie postaci, ujrzał starego dziada w stroju wieśniaczym, z kosturem w ręku.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał zdziwiony. — A cóżeś waść zrobił z siebie?

— Mości chorąży, jako chłop i dziad będę bezpiecznie chadzał wśród wrogów, szlachcica zaraz powieszą lub zabiją.

— Prawda! Ale skąd wziąłeś ten strój?

— Wyszedłszy na świat spotkałem trupa chłopskiego, obdarłem go z szat, bo i pocóż nieboszczykowi koszula i hajdawery? Toć użebrzę kawałek chleba i przyniosę go państwu, gdyż zwierzynę i jagody łatwo mieć w boru, tylko chleba brak.

— Rozumnieś sobie począł; teraz wierzę, że dopłyniemy cało do portu ocalenia.

Wtem posłyszeli hasła żołnierskie, więc umilkli i, skradając się ostrożnie, ruszyli do lasu, kierując się w stronę ruin zamczyska.

Przybywszy na miejsce, odszukali podziemia z łatwością. Były tam dwie cele dobrze utrzymane, które wymieciono, ogrzano rozpalonem ogniskiem, zrobiono potrzebne łoża z mchu i traw. Na tych przygotowaniach upłynął dzień następny.

Rankiem poszedł Ziembiński po żebraninie do wsi okolicznych i pod wieczór przyniósł wiadomość, że Szwedzi ściągają posterunki i patrole, gdyż snąć gotują się do wymarszu.

Noc przeszła spokojnie, prócz hukaniu sów, śmiechu puszczyków, wyciu wilków i szczekania lisów, żaden ludzki czy nadludzki odgłos nie odezwał się wokoło i nie przerwał snu mieszkańcom ruin.

Tak przeszło dwa dni, aż wreszcie trzeciego zniecierpliwiony chorąży rzekł do powracającego Ziembińskiego.

— Słuchaj waszmość, panie Michale, jaki plan obmyśliłem. Co my tu wysiedzimy w tych ruinach? Szwedzi cofnęli się, jak mówisz, zostawiwszy słabe załogi, więc jutro skoro świt ruszysz do naszych przyjaciół, postarasz się o konie i ludzi, przeprowadzisz ich tajnie do ruin zamczyska, i pojedziemy w świat.

— Wola twoja mości chorąży, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę, że pani chorążyna i Janinka nie nadadzą się do konnej jazdy.

Obecna przy tem Janinka poczerwieniała i zawołała:

— Nie jeżdżę ci ja tak, jak Anielka, ale zawsze dosiedzę na koniu. Niech się pan Michał o mnie nie boi.

— I ja w potrzebie pojadę. Pamiętam, że przed laty nie zsiadłam z konia przez dwanaście godzin, a było to dla zabawy, więc i teraz potrafię — odezwała się pani chorążyna.

— Ha, jeżeli wola taka, pójdę i sprowadzę ludzi i konie.

W trzy dni wrócił Ziembiński, ale sam, bez orszaku. Zastał chorążostwo na zewnątrz zamczyska, zbliżył się, a tuż spytał impetycznie chorąży:

— A oni gdzie?

— Zostawiłem przed lasem, w dobrem ukryciu, bo snuli się Szwedzi i bałem się zdradzić kryjówkę.

Nikt nie zważał, że o jakie sto kroków stała za drzewem postać z niemiecka ubrana, a widząc rodzinę chorążego, z uśmiechem tryumfu i złośliwości mruknęła:

— Więc to są duchy zamczyska!

Był to Jakubowski, który, jadąc na czele patrolu, spostrzegł znajomą skądciś postać dziada i postanowił go śledzić. Zsiadł z konia i w lesie z łatwością szedł za mniemanym dziadem. Widząc rodzinę chorążego, wielce się ucieszył i szybko podążył w kierunku Ostrowa, by zawiadomić pana o odkryciu. Dotarł do zamku późną nocą, kazał jednak rozbudzić grafa i rzekł:

— Znalazłem chorążego i córki.

— Jeżeli to prawda, dostaniesz sto talarów, a za kłamstwo sto batów.

— Talary są moje i dziękuję za nie panu grafowi.

Tu opowiedział szczegóły. Graf chciał biedz natychmiast, powstrzymała go jednak ciemność nocy.

Dopiero nad ranem we czterech popędzili do ruin. Aby nie spłoszyć ptaszków zostawili konie na uboczu, a sami poszli pieszo.

Dotarłszy do ruin, gorączkowo zaczęli szukać wejścia do podziemi, nie zważając, że z drugiej strony, zasłonięci lasem, stali umówieni ludzie z Ziembińskim na czele.

Ten poznał Jakubowskiego, grafa i dwóch towarzyszących im Niemców, kazał ich wnet otoczyć, a gdy Niemcy nachyleni gotowali się wejść do odnalezionego podziemia, skoczyli na nich ludzie Ziembińskiego.

Walka trwała krótko. Niemców skrępowano sznurami, usta im zakneblowano, i na dany znak ruszył cały orszak w głąb lasu.

Ziembiński w milczeniu upatrywał dębu, a znalazłszy go kazał wnet zarzucić powrozy.

— Jako zdrajca ma pierwszeństwo ten oto — rzekł, wskazując na Jakubowskiego.

Potem przyszła kolej na grafa i na dwóch Niemców. Taki był smutny koniec nikczemnego zdrajcy i nienawistnych Niemców, którzy, nie jak rycerze, lecz jak rozbójnicy, przyszli poto ze swojej Marchii, aby grabić, palić i rabować.

Chorąży odzyskał wkrótce Ostrów przy pomocy sąsiadów, a wysławszy córki i żonę do miasta dla bezpieczeństwa, sam do końca wojny utrzymał w swych ręku obronny zameczek.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-podziemiach-ruin

Tekst opracowany na podstawie: Artur Gruszecki, W podziemiach ruin. Opowiadanie, nakładem Michała Arcta, druk P. Laskauer i Babicki, Warszawa 1898.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Simone Tagliaferri , CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.
Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.